**Jesienna chandra czy chandryczenie się**

Zanurzyć się w jesieni ad hoc? Hydromechanik z Hyde Parku z cicha zachichotał, po czym zaczął rzęzić i melancholijnie wzdychać, chociaż skądkolwiek by nie pochodził, przeżywał rokroczne deja vu. Któryż to raz jego rozchwiane jestestwo odchorowywało równonoc jesienną

i przesilenie zimowe? Chandra na przemian ze schyłkowym fin de siecle’em zarzynała mu trzewia, żerowała w hipokampie, jakby zażył glikokortykosteroidy.

To irracjonalne i transcendentne fiksum-dyrdum pogłębiało ponadto chandryczenie się

z niesforną bandą rzezimieszków – rzekłbyś - trzpiotów i huncwotów, których nieprzebrana horda wychynęła spośród drzew.

- Hejże! Hola! - ryknął z dala i bez ogródek.

Barbarzyńcy czmychnęli, usłyszawszy tembr głosu quasi-bohatera wszech czasów. Niezachwiany heroizm i postawa półboga ni stąd ni zowąd przebrzmiały, gdy z hukiem padł na wznak, poślizgnąwszy się na zanadto spróchniałej korze, przeplecionej przepiórczym pierzem

i inkrustowanej skorupkami jaskółczych lub kukułczych jaj. Gdy zachrzęściły mu kości twarzoczaszki, był ogorzały z przerażenia i jeszcze ta ciuchcia… Ach, ech! Wzniósłszy się ponad oranżerią, ujarzmiony duch mocarza, rubaszny i swawolny dotychczas, przedzierzgnął się w pięknoducha, co było równoważne z – mniejsza o to - młócką jego hierarchicznego i chronologicznego curriculum vitae.

Powróciwszy z przestworzy i sfrunąwszy spomiędzy cumulusów, dostrzegł wszechobecną feerię barw. Zdjął dżinsową kurtkę, przywdział podkoszulek z dżerseju - nowo odkryty w szkaplerzu

T-shirt po autochtonie z Afryki Północnej rodem z Algierii lub Mauretanii - założył kombinezon z płótna i popędził w kierunku południowo-wschodnim. Zanurzył się w przestworzach parku. Zważywszy na to, że naprzeciw ujrzał brzezinę i wrzosowiska skąpane w jarzącym świetle jutrzenki, zaczął rżeć do rozpuku i piać z nieukrywanym zachwytem. Tarzał się non stop w żółto- pomarańczowo-czerwonych liściach i jasnozielonych żołędziach, świeżo opadłych z dębu szypułkowego, oraz mocno przerzedzonych krzewinkach. Ten huraoptymizm i hedonistyczna huśtawka emocji sekundowały wystrzałom świętokradczych zhańbień.

Kres tym hockom-klockom i hochsztaplerskim czy hipisowskim podżeganiom dała żądza ukonstytuowania oligarchicznej zasady constans, która przejęła władzę nad organizacyjno- gospodarczym chaosem. Pro publico bono nieokrzesany, samozwańczy kontrrewolucjonista został ujarzmiony przez pielęgniarzy, którzy przylecieli helikopterem LPR-u z pobliskiego

Tel Awiwu-Jafy, okrążywszy Cambridge i Cieśninę Singapurską. Wsuwany do wehikułu, przykryty haftowaną pierzyną, rozmarzony warchoł nucił bas- barytonem: ,,W żółtych płomieniach liści brzoza dopala się ślicznie…”.